

WIDNOKRAĆ

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ
Z „NOWINAMI
RZESZOWSKIMI”
Nr 21 (87)
Rok III
26 V 1963 r.

ROŚNIE RANGA KULTURY

(Fragmenty przemówienia sekretarza KW PZPR — Stanisława Bogunia
— wygłoszonego na uroczystościach Dnia Działacza Kultury)



Fot. MICHAŁ KOPEĆ

Dni Oświaty, Książki i Prasy, obchodzone od wielu lat, mają już swoją tradycję. Pozwalają organizatorom skupić cały wysiłek na realizacji problemów, które bądź to powtarzają się rokrocznie, bądź też są specjalnym akcentem danego roku.

I tak np. w tym roku w naszym województwie postawiliśmy sobie zadanie: co najmniej w jednym państwowym gospodarstwie rolnym każdego powiatu powstanie dobrze zorganizowana placówka kulturalno-oświatowa.

Stworzenie tego typu placówek w PGR jest bardzo potrzebne, bo załogi tych gospodarstw, niekiedy oddalonych od wsi, często pozbawione są możliwości korzystania z dobrej rozrywki kulturalnej.

Wykorzystanie środków przeznaczonych na kulturę w 100 proc. — to druga ważna sprawa naszych majowych i nie tylko majowych pozynań.

Często narzekamy na brak środków, a jednak co roku pewna kwota jest nie wykorzystana i przepada. W naszym województwie zarówno w powiatach, jak i gromadach przypadło w r. 1962 około 2 mln zł. Jest to już lepiej niż w poprzednich latach, ale to przecież nie może nikogo zadowolić.

W naszym województwie mamy: 404 gromadki, 114 wiejskich bibliotek publicznych oraz 926 punktów bibliotecznych, czyli mamy niemal pełną sieć bibliotek gromadzkich. Możemy już poprzez bibliotekarzy dotrzeć w zasadzie do każdej gromady. Coraz więcej bibliotekarzy podnosi swoje kwalifikacje i coraz więcej wiąże się na stałe ze swoim zawodem.

Bibliotekarz nie jest już dzisiaj tylko tym, który podaje czytelnikowi

w książkę — staje się on działaczem.

Niedawno mówiło się wiele o tzw. „eksperymentach kolbuszowskim”, w którym szkoła była ośrodkiem życia k.o. na wsi. Dzisiaj funkcję tę przejmują także biblioteki. Dzięki staraniom bibliotekarzy i przy pomocy władz terenowych otwierają się nowe biblioteki w czytelniami, wyposażone w sprzęt audiowizualny. 185 czytelników w ogóle, a 155 na wsi jest już czynnych w naszym województwie. Na podkreślenie zasługuje to, że czytelnicy nie stoją puste. Miłym wyglądem i dobrymi formami pracy przyciągają czytelników.

Rocznie około 20 tys. nowych czytelników korzysta z usług bibliotek rozsianych po całym województwie. Chodzi tu jednak nie tylko o wyposażenie.

Bibliotekarze z powiatu niżańskiego przy pomocy społeczeństwa zorganizowali 9 ośrodków kultury na wsi, wyposażając je w odpowiedni sprzęt — i to bez dodatkowych funduszy wojewódzkich.

W powiecie debickim wysiłek bibliotek skupił się m. in. wokół uniwersytetów powszechnych, w lańcuckim szczególnie na konkursie „Złotego Kłosa”, w sanockim propagują pracę z teatrzykiem kukielkowym, a w powiatach: przeworskim i jasielskim mogą pochwalić się pięknym sukcesem w zakresie upowszechniania słowa. W samym powiecie jasielskim m. in. dzięki wysiłkowi bibliotekarzy, którzy zorganizowali specjalne trójki, wzięło udział w eliminacjach środowiskowych X Konkursu Recytatorskiego 1946 uczestników.

We współczesnym świecie może być silny i zamożny tylko ten naród, który rozwija oświatę, naukę i kulturę. Gospodarczą potencjał naszego kraju stwarza materialną bazę dla rozwoju kultury, a zarazem rodzi potrzebę stałego podnoszenia poziomu wykształcenia całego społeczeństwa. Dlatego nie jest nam dzisiaj obojętne, co ludzie czytają.

I tu znów ważną i odpowiedzialną rolę do spełnienia ma bibliotekarz i ten z gromady, i ten z zakładu pracy. Poprzez książkę kształtuje grunt, smak estetyczny i świadomość czytelnika. Przebudowuje więc świat.

Cheśmy dzisiaj, aby bibliotekarz dostarczał czytelnikowi książkę dobrą, wartościową, o tematyce społeczno-politycznej, fachowej i artystycznej, by w ten sposób zwalczał ciemnotę i zacofanie, i przyczyniał się do szybszej budowy socjalizmu w naszym kraju.

Cheśmy, by uczył czytelnika dokonywać wyboru właściwej postawy ideowej. Rocznie kupujemy książek za 3.600.000 zł, mamy 266.000 czytelników, wydajemy 630.000 zł na prenumeratę czasopism itp., ale najistotniejsze jest to, co w zamian osiągamy? Jakże są tego rezultaty, czy realizujemy zasadnicze zadania polityki kulturalnej?

Dzisiaj można stwierdzić, że kierunek pracy naszych bibliotek jest na pewno właściwy. Oto jeszcze jeden przykład. Problemy rolnictwa są bardzo ważne w naszym województwie. Bibliotekarze włączyli się w pełni do realizacji zadań, wyty-

czonych przez Plenum KC PZPR, włączyli się poprzez upowszechnienie wiedzy rolniczej na wsi. Bibliotekarze kolportują książki o tematyce rolniczej. Organizują spotkania z fachowcami, inżynierami, aranżują dyskusje wśród chłopów.

Tego rodzaju formy pracy cieszą się olbrzymim powodzeniem wśród rolników. Mówiąc dzisiaj o działaniu kultury nie można pominąć pracowników innych placówek, jak np. „Domu Książki” i „Ruchu”. Cenna jest ostatnia inicjatywa „Ruchu”, polegająca na organizowaniu punktów sprzedaży wraz z czytelniami, a nawet kawalerkami.

Prawo obywatelstwa zdobyła sobie klubo-kawiarnia, rozwijająca różne formy pracy kulturalno-oświatowej. Praca kulturalno-oświatowa na wsi spoczywa nie tylko na barkach bibliotekarzy, nauczycieli czy działacza ZMW, w coraz większym stopniu włączają się do niej także działacze OSP i Kola Gospodyń Wiejskich, lekarze i agronomowie.

Często tylko ich wysiłek jest rozproszony, brak jest koordynacji, każdy działa na własną rękę, każdy musi robić własną sprawozdawczość. Porozumienie zawarte między ministrem kultury i sztuki a Prezydium CRZZ wytycza nowy kierunek współdziałania w upowszechnieniu kultury.

Choć trzeba tu zaznaczyć, że współpraca między radami narodowymi a Wojewódzką Komisją Związków Zawodowych w Rzeszowie układa się dobrze. W jej wyniku podjęto wiele wspólnych decyzji i uchwał oraz zorganizowano wiele wspólnych imprez.

Placówki zwłazkowe i państwowe uzupełniają się wzajemnie. W powiatach, które nie posiadają PDK, ZDK winny pełnić ich funkcję. Ostatnio WKZZ zwróciła uwagę na tworzenie międzyzakładowych placówek, które są ekonomiczniejsze i dają lepsze możliwości działania.

Współdziałanie potrzebne jest szczególnie w ruchu amatorskim, który w naszym województwie jest bardzo żywoty. Posiadamy dużą ilość zespołów. Wystarczy wspomnieć, że zespół w Bóbrce działa 40 lat, a zespół teatralny w Łuźnej obchodził w tym roku 50-lecie.

Przykłady można mnożyć. Dlatego i dzięki czemu zespoły te są tak żywotne?

Przed wszystkim dzięki ludziom, którzy często jeszcze pleszo przemierzają dziesiątki kilometrów od wsi do wsi, aby zorganizować imprezy, aby chronić przed zapomnieniem pieśni i tańce ludowe.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na pracę kulturalno-oświatową Ludowego Wojska Polskiego. Wojsko ma duże możliwości oddziaływania na żołnierzy w okresie ich dwuletniej służby. Naszym zdaniem możliwości te należy wykorzystać jeszcze w większym stopniu i przy pomocy wszystkich zainteresowanych placówek.

Ranga kultury i jej funkcja wychowawcza stale rośnie, stąd coraz powszechniejsze jest zainteresowanie wszystkich czynników politycznych, administracyjnych i społecznych tymi problemami.

WITOLD SZYMCZYK

Kawiarenki wiejskie — teoria i praktyka

Świat się kończy — powiedziała stara Zagulina, popatrując na strojącą się przed lustrem córkę. Zośka miała na sobie nową kolorową sukienkę w „pikasy”, na nogach węgierskie pantofelki bez napiętki i najlony bez szwa, na głowie zaś kapelusz-cylinder skopiowany ze zdjęcia w ostatnim numerze paryskiego czasopisma „Elle”. Właśnie podciągnęła sobie jeszcze kredką brwi i patrząc w lustro rzekła: — Mamusku, ja dzisiaj wrócę troszki później. Idziemy na wieczór do kawiarni.

Za oknem warcał szmerowo motor „Jawy” Wojtusikowego Staśka, nie zagłuszając jednakowoż głosu śpiewającego „Eso beso” Paula Anki płynącego z wiszącej na Staśkowym ramieniu „Sarotki”.

— Świat się kończy — powtórzyła Zagulina, zakładając ręce. — Już jej mleko nie wystarczy, co go w domu jest pod dostatkiem, ino — tfu, zgłiń, przepadnij — kawy jej się — mościwicy — zachciało”.

Tak mogłaby zacząć się ta historia, gdyby relacjonował ją chłapkowski sołtys, a zrobił to kiedyś z pewnością (jeśli dotąd tego nie uczynił) bo temat jest nowy, ekscentryczny, do pokpiwań świetny, a co najważniejsze, oparty na najprawdziwszych, coraz bardziej powszechnych faktach.

My zrobimy to nieco inaczej i bardziej serio, gdyż gra jest nie tylko lekka, ale naprawdę warta kwieciki. Krótko: młodzież wielu wsi podjęła zruconą przez ZMW inicjatywę organizowania u siebie klubo-kawiarni, których celem ma być łączenie form przyjemnej, kul-

turalnej rozrywki z interesującymi i potrzebnymi elementami pracy kulturalno-oświatowej.

Cała impreza ma dwóch patronów: z jednej strony Związek Młodzieży Wiejskiej działający przez swoje koła i zespoły Przystosobienia Spółdzielczego, z drugiej — spółdzielczość — działająca przez zarządy GS-ów. Obie wysoko układające się strony zawarły odpowiednie porozumienie, podzielono kompetencje, uchwalono przepisy, które są niejako prawną podstawą działania. W myśl tych układów GS-y zobowiązane są do przygotowania i wyposażenia lokali klubo-kawiarni (hrr, cóż za nowotwór!), pomocy finansowej i fachowej (np. w organizowaniu szkolenia rolniczego), młodzież zaś winna zająć się samą organizacją życia kulturalno-oświatowego, rozrywek, ba, nawet imprez sportowo-turystycznych. Wszystko to w praktyce jeszcze „dociera się”, w różnych instancjach obu organizacji trwają konsultacje i spory, sama inicjatywa jednak przyjęła się i kluby-kawiarnie wyrastają jak grzyby po deszczu.

— Cóż się jednak w nich dzieje dziś, po niedługim jeszcze okresie istnienia?

Spróbujmy zaglądnąć do kilku i odpowiedzieć na to pytanie.

Oto Sonina w powiecie lańcuckim. Ładna, obszerna sala, przyjemnie urządzona i wyposażona, białą pod tym względem niejedną kawiarnię w niejednym mieście powiatowym. Radio, adapter, sporo płyt. I oczywiście kawa. Podaje ją Anna Wojtoń, która wraz ze Stanisławem Nyczem, sekretarzem POP, przewodniczącym zespołu Przysto-

sobienia Spółdzielczego i członkiem władz nadzorczych GS w jednej osobie — jest naszą informatorką.

Klub działa od stycznia i cieszy się na ogół dobrą frekwencją. — Co się robi? Czyta gazety, gra w szachy, brzdą, słucha radia lub płyt. To tak na co dzień. Niezależnie od tego działa tu zespół teatralny, który wystąpił już z jedną ze sztuk Bałuckiego, a ponadto wiele czasu zajmuje sport (w budynku jest połączona sala gimnastyczna). Spotkania, odczyty, dyskusje? Raczej nie. Nie ma także zajęć oświatowych.

Krasne. Salka niewielka i uboższa niż w Soninie, ale za to w odróżnieniu od tamtej wyremontowana, uprzątnięta i odmalowana rękoma młodzieży w czynnie społecznym. W ogóle kawiarnia jest pamiętką po krótko tu wprowadzie urzędującym, ale cieszącym się dużym autorytetem agronomie Janie Działoszu, który przed odejściem do innej pracy zachęcił młodych do stworzenia klubu. Stoliki w kawiarni, mimo że obok w kinie wyświetlają właśnie ciekawy film, zajęte. Czasopisma, warcaby, karty. Na prowizorycznym bufecie — grający adapter.

Młoda nieśmiała dziewczyna o jasnych włosach stawia przed nami kawę i — z pomocą jakiejś starszej jowialnej jeźmości — opowiada o początkach klubu, o jego organizatorach — Działoszu, Edwardzie Białku i Wiesławie Ział, o pierwszych niepowodzeniach, które już po kilku tygodniach doprowadziły do zmiany zarządu (klub jest także młody — liczy niespełna 3 miesiące.

(Ciąg dalszy na str. 2)

Antologia polskiego humoru w ZSRR

Nakładem wydawnictwa „Iskusstwo” ukazał się po rosyjsku wybór utworów pt. „Humor polski”. Książka obejmuje opowiadania, wiersze, piosenki (wraz z nutami), ludowe bajki i żarty.

W rozdziale zatytułowanym „Opowiadania, felietony, monologi” znajdują się twory Juliana Tuwima oraz licznych współczesnych satyryków — współpracowników tygodnika „Szpilki”.

Wybór ukazał się w nakładzie 50 tys. egzemplarzy i ilustrowany jest rysunkami polskich grafików.

Śladem naszych artykułów

ZUS informuje...

W związku z artykułami red. Edwarda Wisza, zamieszczonymi w „Nowinach Rzeszowskich” z dnia 20 i 21 IV 1963 r. pod tytułem „Służba klasztoru” oraz z dnia 11 i 12 V 1963 r. pt. „Do Canossy nie pójdę” — Zakład Ubezpieczeń Społecznych Oddział w Rzeszowie zawiadamia, że materiały zawarte w tych artykułach zostały przez tutejszy Oddział wykorzystane dla ustalenia obowiązku ubezpieczenia i wysokości składek ubezpieczeniowych w stosunku do osób zatrudnionych, a nie ubezpieczonych przez Kolegium Jezuitów w Starej Wsi, pow. Brzozów.

W wyniku przeprowadzonych dochodzeń okazało się, że nie zgłoszono do ubezpieczenia czterech pracowników, a mianowicie: Władysława Telesza, Stanisława Kucharskiego, Jana Kucharskiego oraz Jerzego Łojka.

Równocześnie Kolegium Jezuitów w Starej Wsi w stosunku do zgłoszonych osób podanych w deklaracjach składek do tutejszego Oddziału nie wykazywało całodziennego utrzymania pracowników, zmniejszając tym samym podstawę do wymiaru należnych składek ubezpieczeniowych.

W związku z powyższymi tutejszy Oddział dokonał wymiaru składek za pracowników nie ubezpieczonych w wysokości zł 5.632,50 oraz dodatkowego wymiaru składek ubezpieczeniowych w wysokości zł 17.305,20 od wynagrodzenia w naturze. Oddział zastosował również wymiar dodatkowy w kwocie zł 5.734,50 za nieubezpieczenie wyżej wymienionych pracowników i niepodawanie rzeczywistych zarobków.

Dyrektor
Oddziału Rzeszowskiego ZUS
mgr Józef Radwan

Kawiarenki wiejskie — teoria i praktyka

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Spotkania, owszem, były z działaczami politycznymi. Na tańce jest za mało miejsca. Chcą zdobyć telewizor. Zwracali się już z tym do Komitetu Przeciwdziałania Rzeszowie — na razie bez rezultatu. Wilkowyja. Pod przydrożną figurką kilkanaście osób zawodzi jakąś nabożną pieśń. Same kobiety. Długo szukamy klubu i dopiero jacyś chłopcy prowadzą nas po ciemnych, nieoświetlonych schodach.

— A wy tu czasem przychodzicie? — zwraca się do nich ktoś z naszej trójki.

— E, skąd. Tam nigdy nie ma miejsca. Stałe pełno — odpowiada któryś.

U wejścia uderza nas silny zapach. Coś z odoru dworcowego bufetu na małej stacyjce kolejowej i popularnych kłajp zwanych potocznie „mordownikami”. Ale nie — gdzieś wódki i wina. W maleńkim pokoiku kilka stołków otoczonych wyplatnymi sztuczny tworzywem fotelami, na których siedzą bywalcy. Przy jednym miodzi chłopcy nad warcabanami, przy pozostałych mężczyźni raczej w wieku popoborowym. Bezładne gesty, błyszczące oczy, pewne siebie aczkolwiek z lekka zacinające się głosy. Na stołkach piwo. Ale to chyba nie ono wprowało tych mężczyzn w taki stan. Być może „pokrępił się” już wcześniej, a tutaj odbywa się tylko finał. W naszej obecności starają się zresztą być cisi i potulni, co przychodzi im z niemałym trudem. Radio podaje akurat wyniki spotkań ligowych, wywiązuje się więc hałaśliwa, przepłataną przekleństwami, dyskusja o pilce nożnej i szansach rzeszowskiej Stali.

Bufetowa nadrabia miłą, ale co chwila rzuca na nich niespokojne spojrzenia. Cóż zresztą może zrobić takie dzwierzakto tyłu starym kołom? Wyrzucić ich? Kazać siedzieć cicho? Jest bezsilna, zresztą to są sprawy zarządu. Regulaminu klubu nie ma. Nie ma także opieki koła ZMW, które samo nie jest zresztą najsiłniejsza. Bufetowa martwi się o ladę, której nie ma i myśli o urzędzeniu kursu tańca towarzyskiego. Ale gdzie? Sala jest taka maleńka. Działalności kulturalnej także nie ma.

W Zalesiu młode wygadane towarzysztwo spytane o drogę mówi: — Dziś tam nie ma nic. Zamknięte. Właśnie stamtąd wracamy.

Jedziemy jednak dalej, ale wszystko się potwierdza. Od grupy miodych chłopców spotkanej niedaleko kawiarni dowiadujemy się, że lokal otwierany jest nieregularnie, zwykle wtedy, kiedy organizuje się wieczorki taneczne.

Ruszamy zatem do Trzcielany, gdzie znajduje się najstarsza nasza klubokawiarnia, opisywana już wielokrotnie i słynna na całą Polskę. Dziś można tu także znaleźć materiał do pozytywnego reportażu. W klubie trwają akurat mistrzostwa szachowe. Na ścianie za szkiem obszerny szczegółowy regulamin.

— Spotkania? Ależ tak! Z poetami, z przedstawiicielami teatru, plastykami, dziennikarzami. Wyjazdy do teatru i na koncerty. Dyskusje. Udział w konkursie „Wieś bliżej teatru”. Wystawa fotografii, aktywne sekcje klubu. Współpraca wszystkich organizacji działających we wsi. Zespoły: instrumentalny, chór, teatralny, estradowy.

Jednym słowem — dużo dobrej roboty prowadzonej przez kochających tego rodzaju działalność ludzi.

Niestety, jeden drobny błąd nie pozwala nam postawić klubu w Trzcielany, jego młodszemu rodzeństwu z Soniny, Krasnego, Wilkowyi czy Zalesia za wzór. Już od pierwszych chwil, od założenia klubu ten otrzymywał poważną pomoc z zewnątrz. Były dotacje i Zarządu Głównego, i Wojewódzkiego ZMW, z Wydziału Kultury Prez. WRN, była, w pełni zresztą zastąpiona, nagroda Ministerstwa Kultury w wysokości 15 tys. złotych, wreszcie... członkowie klubu placą 5-złotową składkę miesięczną. To wszystko stwarza warunki działania, jakich tamte kluby nie mają. I dlatego jeśli możemy życzyć im takich osiągnięć, jakich dobili się koledzy z Trzcielany, to nie możemy tego od nich już teraz wymagać.

Tyle reporterskich spostrzeżeń z jednodniowego rajdu. Jakże nasuwają się z tego wnioski?

Po pierwsze — klubokawiarnie różnią się w zasadzie od dawnych świetlic jedynie lepszym, tzn. bardziej nowoczesnym, czy modnym urządzeniem i wyposażeniem oraz... bufetem z kawą, herbatą i ciastkami. W odróżnieniu od świetlic jednak mają wielu zwolenników i jak dotychczas nie świecą pustkami. To jest fakt. Młodzież tu przychodzi.

Z powyższego wypływa wniosek, że jest to zatem potencjalna baza dobrej, atrakcyjnej działalności kulturalno-oświatowej, dogodnie miejsce oddziaływania na skupiającą się tutaj młodzież. Jak dotychczas młodzież ta zdana jest na własne siły. Ani z ZMW, ani z PZGS systematycznej pomocy organizacyjnej nie ma. Nikt nie podsunie nawet pomysłu, nie zachęci do stosowania nowych form pracy, nie pomoże.

Na kawiarniach odbija się zaściankowosc w pracy kulturalnej. Nie dostrzegły ich dotąd wydziały kultury rad narodowych, biblioteki, domy kultury czy organizacje społeczne. A przecież mają tu one piękne pole do działania!

Dużo dobrego mówiło się u nas o eksperymencie kolbuszowskim — organizowaniu ośrodków życia kulturalnego na wsi. GS-owskie i ZMW-owskie klubokawiarnie — to kontynuacja w nieco innej formie tego eksperymentu. Niestety, mają pecha. Tam były poważnie zaangażowane rady narodowe, nauczycielstwo, domy kultury. Tu jest tylko młodzież i mniej lub bardziej hojny Zarząd GS-u. Dlatego w klubokawiarniach oprócz wielu innych rzeczy nie ma filmów oświatowych, telewizji (tylko w jednej znaleźliśmy telewizor, a i to nieczynny) odpowiednich zestawów gazet i czasopism.

Oczywiście można powiedzieć, że wystarczy, jeśli młodzież odciągnie się od kielszka, a to kawiarnie w dużej mierze już robią. To jednak za mało. Jeśli chcemy, by młodzież dobrze wykorzystywała swój wolny czas, by kawiarnie były nadal pełne, by właściwie oddziaływały na swoich bywalców, prace ich trzeba uatrakcyjnić. Potrzebny jest tu mecenat, opieka i pomoc, które winny iść w parze z coraz większym zaangażowaniem szerokiego grona odwieczających kawiarnie, w ich sprawy i pracę.

WITOLD SZYM CZYK

Religia i świat współczesny (II)

Katolicyzm „otwarty”

Poza integrystycznym modelem katolicyzmu, który operując środkami wyznaniowej presji skierowany jest na zewnątrz Kościoła i chciałby pod porządkować jego dyspozycję laickie dziedziny życia, istnieje w Polsce także inny typ, prezentujący inny stosunek do świata laickiego.

Model ten nie jest u nas reprezentowany zbyt szeroko. Występuje głównie w środowiskach katolickiej inteligencji rzadziej w innych środowiskach społecznych. Najczęściej zwykło się go określać mianem katolicyzmu „otwartego” od jego stosunku do nurtów niekatolickich i do ludzi o innym światopoglądzie.

Katolicy „otwarcy” uznają pluralistyczny światopoglądowy charakter współczesnego społeczeństwa i prawo człowieka do wyboru własnego światopoglądu. W życiu społecznym uznają autonomię laickich dziedzin życia, zasadę rozdziału Kościoła od Państwa. Bronią prawa Kościoła do wydawania moralnej oceny różnych przejawów ludzkiego życia nie opowiadając się za tym, aby tej formie ideologicznej presji towarzyszył także nacisk instytucji wyznaniowych na pozawyznaniowe dziedziny życia, poprzez zastosowanie nacisku typu organizacyjnego i instytucjonalnego. Główną, że współcześnie straciła rację bytu hasło odbudowy tzw. sacrum imperium — idea politycznego panowania Kościoła, poddania jego kontroli całokształtu stosunków społecznych.

Nie negują jak integrysty wartości innych ideologii dlatego tylko, że nie podzielają katolickiego punktu widzenia w kwestiach teologicznych lub ogólnospołecznych. Przeciwnie, uważają, że również w ideologiach niekatolickich zawarte są autentyczne, humanistyczne zasady, godne uznania ze strony katolicyzmu. Ich zdaniem, idea te należą akceptować, przejąć, w pewnym sensie sakralizować. Tak wyważony stosunek do innych ideologii, stosunek u którego podstaw nie leży zacietrzewienie typowe dla postaw integrystycznych, stwarza możliwość nawiązania wymiany myśli, poglądów, słowem — dialogu. Zastąpienie nieprzebiegającej w sferach walki światopoglądowej światopoglądowym dialogiem jest zjawiskiem ze wszech miar korzystnym, pozwala bowiem na usuwanie społecznych kontrowersji i na poszukiwanie platformy współdziałania.

Katolikom „otwartym” obcy jest duch nietolerancji i krucjaty. Są przekonani, że tego typu środki „przekonywania” do katolicyzmu należy odrzucić z wielu względów. Raz dlatego, że są one niehumanistyczne, po wtóre dlatego, że stosowane współcześnie przynoszą katolicyzmowi więcej szkody niż pożytku, zrażają do Kościoła ludzi, których można by dla katolicyzmu zdobyć, wydają Kościołowi świadectwo, na które ich zdaniem, nie zasługują.

Uważają natomiast, że Kościół powinien zdobywać dla siebie ludzi o innych postawach światopoglądowych środkami „ubogimi”, ale dlatego właśnie rzeczywiście skutecznymi. Do nich zaliczają przede wszystkim wszelkie ewangeliczne zalecenia posługiwania się przykładem miłości. Nie wrogość, lecz miłość winni katolicy okazywać ludziom o innych przekonaniach; nie piętnować, lecz być gotowymi do wyrozumiałości. Tylko jakościowa zmiana religijnej postawy może uczynić Kościół atrakcyjnym dla niekatolików. Stąd w pierwszym rzędzie w stosunkach wewnątrzkościelnych postulat „miłości bliźniego” powinien być naczelną wytyczną postępowania.

W życiu społecznym katolicy „otwarcy” opowiadają się za zaangażowaniem we współpracę z niekatolikami, także w tworzeniu socjalistycznego modelu społecznego. Wybór współdziałania zamiast negacji prezentowanej przez ideowych integrystów, jest u nich celowy, a nie żywiołowy. Można sądzić, że encyklika „Pacem in terris”, która nie tylko dopuszcza współdziałanie katolików z niekatolikami w sprawach „dobrych”, ale do współdziałania takiego zachęca, stanowić będzie dla katolików „otwartych” poważne wsparcie w ich wysiłkach na rzecz przełamania w Kościele

tendencji zachowawczych i reakcyjnych.

Katolicy „otwarcy” nie ograniczają się wyłącznie do propagowania swoich zasad. Prowadzą także polemikę z integrystami, krytykując ten model katolicyzmu, który nie wytrzymuje próby czasu, starając się wpływać na jego przekształcenie ideologiczne i praktyczne.

Narodziny w katolicyzmie polskim nurtu „otwartego” trudno uznać za dzieło przypadku. Jest to wynik spotkania się Kościoła z socjalizmem, z nowymi stosunkami społecznymi, z rozwiniętą w Polsce cywilizacją przemysłową, rozbudowaną i ekspansywną kulturą laicką. W pewnym sensie jest to odpowiedź bardziej światłych środowisk katolickich, poszuwających się do odpowiedzialności za losy Kościoła, na problemy, które Jeszcze przed kilkudziesięciu laty przed Kościołem w ogóle nie stały. I choć „otwarte” środowisko katolików polskich często nawiązuje do analogicznych idei i nurtów w katolicyzmie innych krajów, zwłaszcza Francji, narodziny tego nurtu w Polsce nie polegają na prostym wniesieniu do nas idei zaczerpniętych z zewnątrz, lecz posiadają autentyczne, społeczne uwarunkowanie.

WIESŁAW MYSLEK



Fot. ZDZISŁAW POSTĘPSKI

Dyplom i przydatność zawodowa

(Z doświadczeń czechosłowackich)

Czechosłowackie szkolnictwo ma duże tradycje. Dość przypomnieć, że praski Uniwersytet należy przecież do najstarszych w Europie. Przez dziesięciolecie czeszy pedagogzy pro wadził zacięty bój z germanizacją. Szkoła słowacka była zawsze głównym bastionem walki o język ojczysty.

Po ostatniej wojnie nastąpił odrzutek wzrost ilościowy szkolnictwa czechosłowackiego. Ujednolicono równocześnie i usprawniono system nauczania. Liczne szkoły i instytucje pedagogiczne wypuszczają wciąż nowe kadry wychowawców młodzieży. Przeważa pod tym względem Instytut Pedagogiczny im. J. A. Komeńskiego w Pradze.

Powstała wielka sieć placówek wychowawczych — od przedszkoli do wyższych uczelni. Istnieje sporo przedszkoli tygodniowych i sezonowych na wsi (podczas nasilenia prac w polu). Niedługo połowa dzieci w wieku przedszkolnym ma być objęta przedszkolami. W Czechosłowacji wyrównano znacznie różnicę między szkołą wiejską i miejską. Wprowadzono dziesięcioletni obowiązek szkolny, co postawiło Czechosłowację w rzędzie państw produkujących w tej dziedzinie.

Podczas gdy przed wojną było tam 9 wyższych uczelni to obecnie jest ich już 50. Na milion obywateli

przypada rocznie blisko 700 absolwentów wyższych uczelni (w krajach dobrze rozwiniętych przypada średnio 300-400 absolwentów).

W szkole czechosłowackiej jest mnóstwo spraw zasługujących na omówienie. W tym artykule można — rzecz jasna — rozpatrzyć bliżej tylko jedno zagadnienie. Tym zagadnieniem będzie szalenie pasjonujący problem: szkoła a praca. Interesuje on bowiem również nasze szkolnictwo.

W CSRS eksperyment w szkole ogólnokształcącej rozpoczęto niedawno od wprowadzenia w niższych klasach przedmiotu — tzw. nauczanie pracy. W tym celu organizuje się na terenie szkoły prace społecznie użyteczne. Mają one wdrożyć do pracy fizycznej i rozwinąć w nich umiejętność samoobsługi.

W klasach wyższych nowy przedmiot nazywa się: podstawy produkcji. Poświęca mu się 8 godzin, wypełniając nim przeważnie jeden dzień w tygodniu. W okresie wakacyjnym uczniowie mają kilkutygodniową praktykę w zakładach produkcyjnych. Są zatrudniani zgodnie z posiadaniem już kwalifikacji. Za swoją pracę otrzymują wynagrodzenie według obowiązujących stawek.

Zwraca się baczna uwaga na to, aby praca uczniów nie odburywała im czasu na inne przedmioty. W

szkolach zawodowych zajęcia produkcyjne mają ze zrozumiałych względów szerszy zasięg.

W czechosłowackiej pedagogice nurtowała już od dawna koncepcja politechnicznego kształcenia młodzieży jako integralnej części socjalistycznego wychowania. Teoretyczne założenia były jednak przez dłuższy czas dość mgliste i zastosowanie ich w praktyce napotykało trudności. Dopiero w ostatnich latach zrobiono pod tym względem poważny krok naprzód.

Postulat o wieloletniego powiązania z życiem jedenastoletniej szkoły ogólnokształcącej stał się punktem wyjścia dla wprowadzenia szeroko pojętej politechnizacji do wszystkich typów szkół. Duże znaczenie miały uchwała KC KPC z kwietnia 1959 r., dotycząca ścisłego spójenia szkolnictwa z życiem, z pracą produkcyjną.

Ożywienie ruchu politechnizacji przejawiało się w kilku kierunkach. W programach uprzywilejowano przedmioty przyrodnicze i techniczne. Wprowadzono wszędzie prace ręczne, zajęcia w warsztatach i na działkach szkolnych, a w klasach wyższych elektrotechnicę i prace uczniowie przy maszynach. Powszechnie prowadzone są przez nauczycieli kilka zainteresowań o charakterze technicznym i agrobiologicznym. W nauczaniu szkolnym przeważa

Kultura odświeżona?

Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy zakończyły w ub. niedzielę uroczystości w Łańcucie. Spotkania z przedstawicielami władz państwowych, pisarzami i artystami, wręczenie działaczom kultury i oświaty odznaczeń państwowych, nagród i wyróżnień, koncert zespołów ludowych i Rzeszowskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej — oto końcowy akord trwającego przez dwa tygodnie święta kultury. Dziś moglibyśmy sobie powiedzieć: do zobaczenia za rok, na następnym kiermaszu książek, otwarciu kolejnej czytelnicy itd.

Ale Dni Oświaty, Książki i Prasy to nie tylko triumfalne wyjście na majowe ulice z symbolem kultury — książką. Sens ich jest o wiele głębszy — podsumowanie osiągnięć we wszystkich dziedzinach kultury i oświaty, utrwalenie ich i wytyczenie planu działania na najbliższy rok. A z kulturą już tak jest, im więcej się zrobi, tym więcej pozostaje do zrobienia. Ten apetyt szczególnie wzrasta w miarę jedzenia, i należy życzyć tylko dalszego dobrego apetytu!

Jeszcze kilka lat wstecz z dumą mówiliśmy o wypełnianiu białych plam na mapie kultury małych ośrodków miejskich i osiedli. Obecnie kierunek ofensywy kulturalnej przesunął się o wiele dalej w głąb terenu. Dotarli szerokim frontem do gromad i wsi, gdzie kino objazdowe nie jest już wystarczającą rozrywką. Za podstawową placówkę kulturalną na wsi uważa się dziś bibliotekę połączoną z czytelnią, w której jest również telewizor. Dni Oświaty 1963 roku wiele wsi w powiatach debickim, mieleckim, niskim i sanockim upamiętniło właśnie otwarciem wiejskich i gromadzkich bibliotek. Uroczyste inauguracje takich placówek odbyły się m. in. w Górze Motycznej, Łatoszynie (pow. Dębica) w Kosienicach i Kamieniu (pow. Nisko), Skopaniu (pow. Tarnobrzeg) i Cierpiszu (pow. Łańcut). Również sam Mielec wzbogacił się o dwa punkty biblioteczne. Natomiast Liszna, Prusiek i Głębokie, dzięki pomocy finansowej Wydz. Kultury Prez. Powiatowej Rady Narodowej w Sanoku zainstalowały w swych świetlicach telewizory. Wkrótce również Lubzina, Okonin i Borek Wielki będą posiadały srebrne ekrany w bibliotekach gromadzkich. W zakupie telewizorów pomaga Wydział Kultury Prezydium WRN.

Te nowoczesnie wyposażone placówki w miejscowościach daleko położonych od centrów kulturalnych — cieszą. Książka i telewizor ułatwiają i znacznie rozszerzają kontakty z kulturą i oświatą na co dzień.

Obok tych najmłodszych placówek, które dopiero wystartowały do pracy, nową kartę swej działalności zaczęły pisać biblioteki-jubilatki: ówczesna w Stalowej Woli ilicząca lat pięćnaście Biblioteka Powiatowa i Miejska w Lubaczowie. Charakterystyczne dla tych bibliotek jest i to, że kierowniczką Marią Łukowską i Marią Bukową, pracującą od chwili ich utworzenia. Nowym placówkom żyjemy podobnie „długowecznego” personelu.

Uroczyste obchody licznych rocznic i jubileuszy jakie przypadły na pierwszą połowę maja br. znacznie rozszerzyły tradycyjny program Dni Oświaty, uświetniły ich przebieg. Zapewne tylko mózg elektroniczny połączony z jakimś nadzwyczajnym radarem potrafiłby już dziś podać dokładny grafik imprez i majowych spotkań kulturalnych 1963 roku. Codziennie odbywały się spotkania z pisarzami, naukowcami, dziennikarzami prasy i radia. Cechą charakterystyczną tych spotkań było to, że koncentrowały się w małych ośrodkach miejskich i we wsiach. Warto tu też przypomnieć kilkunastu rajd sześćdziesięciu pisarzy z całego kraju po rzeszowskiem, który rozpoczął się 3 maja w dniu inauguracji Święta Książki, Prasy i Radia. Rajd nie miał charakteru typowo turystycznego czy kurtauzijnego. Zapoznaliśmy się ludzi pióra z problemami województwa i poznaliśmy się rzeszowian z autorami wielu popularnych książek, to był cel, który został osiągnięty. Najbardziej pracowite było spotkanie pisarzy z wojewódzkim aktywem politycznym, gospodarzem i kulturalnym w Rzeszowie, najprzyjemniejsze z mieszkańcami Sanoka, którzy przywitani „inżynierów ducha

ludzkiego” na stadionie mieleckim. Za pisarzami przybyli archeolodzy. Ich program: sesja naukowa poświęcona przedziejom Rzeszowszczyzny, Walny Zjazd Delegatów oddziałów Polskiego Towarzystwa Archeologicznego i zwiedzenie regionalnych muzeów oraz zabytków województwa rzeszowskiego.

Obchody Tygodnia Ziemi Zachodniej zbiegły się również z Dniami Oświaty. Centralne uroczystości dla Rzeszowskiego odbyły się w Sanoku z udziałem przedstawicieli władz naczelnych TRZZ i działaczy kultury z województw zachodnich.

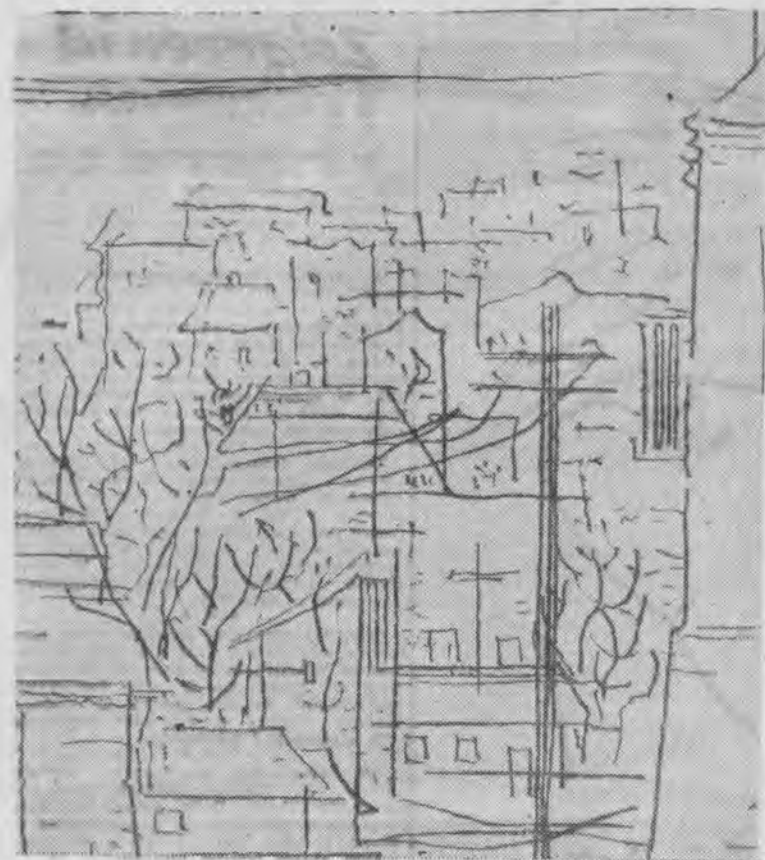
Domy kultury nasyciły plany zajęć rozmaitymi konkursami na tematy literackie, m. in. zorganizowały wiele wystaw. Np. ZDK w Mielcu przygotował ekspozycję najpiękniejszych wydawnictw polskich. PDK w Przemyślu wystawę pt. „Książka piękna i pożyteczna”, a PDK w Jaśle wystawił zbiór polskich albumów. Wszystkie biblioteki według własnych możliwości również ekspozycje wystawy związane z tematyką Dni Oświaty, Książki i Prasy oraz Tygodnia Państwa Polskiego. Liczne z nich pokazały książki, mówiące o Wojsku Polskim. Te wystawy zorganizowano z okazji 20. rocznicy powstania Wojska Polskiego.

Warto też wspomnieć o niecodziennej imprezie tarnobrzeskich sportowców. Zorganizowali oni wyścig kolarski o Puchar Przechodni Dni Oświaty, Książki i Prasy. Ta inicjatywa zrodziła się w ub. roku i wyścig, który odbył się już po raz drugi zaczyna cieszyć się dużą popularnością.

Obchody Dni Książki i Prasy wprowadzają znaczne ożywienie do życia kulturalnego. W tym okresie aktywizują się wszystkie placówki kulturalno-oświatowe. Oby te Dni trwały przez cały rok. Wówczas na nudę nie będzie czasu, a miejsca kultury od święta zajmie kultura na co dzień. M. G.

Współdziałanie

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Rzeszowie w oparciu o porozumienie zawarte między ministrem kultury i sztuki i Prezydium CRZZ w zakresie upowszechnienia kultury, ustaliły ramowy plan współdziałania, który ma skutecznie zapobiec dwutorowości w pracy kulturalno-oświatowej prowadzonej przez rady narodowe i związki zawodowe. M. in. program ten przewiduje ustalenie możliwości wspólnego prowadzenia placówek środowiskowych oraz wspólnego finansowania inwestycji kulturalnych. Tak więc np. zakładowe domy kultury, świetlice i kluby prowadzić będą działalność nie tylko wśród pracowników zakładu, ale również wśród mieszkańców całego miasta, a powiatowe domy kultury i inne placówki podlegające radom narodowym świadczyć będą na rzecz zakładów pracy, znajdujących się w obrębie ich działalności.



Rys. JERZY SIENKIEWICZ

JAN GRYGIEL

O wsi inaczej

Zdaje się, że można już mówić o renesansie tematu wiejskiego w polskiej prozie współczesnej. Albo przynajmniej o szerokich perspektywach, jakie otwierają przed rustykalistami ostatnio ukazujące się książki. Zarówno bowiem w nagrodzonych książkach Juliana Kawalca, o których pisałem poprzednio i w nowych utworach pisarzy jego pokolenia związanych biografiami i twórczością z wsią (Jan Bolesław Ozóg, Stanisław Pięta, jak również w debiutach prozatorskich (Marian Pilot) pojawia się nowy punkt widzenia na rzeczywistość wiejską. Za interesowania pisarzy tego kręgu przesuwają się zdecydowanie z płaszczyzny polityczno-społecznej na psychologiczną - obyczajową. Kruszą się i rozrywają nieprzydatne szablony i konwencje pokutujące długo w literackich obrazach wsi - owe kulaćskie knowania na zębę bledoty, owe przełomy świadomości ideologicznej chłopów, owe podziały na indywidualnych, spółdzielczych pegeerowskich, owa toporność chłopskiej psychiki i prymitywizm moralności.

Okazuje się, że psychologizm w temacie wiejskim nie kontrastuje z nim, nie jest tworem sztucznym, lecz stanowi element konieczny dla uzyskania pełnego obrazu wsi. Oczywiście pod warunkiem, że uniknie

uproszczeń, mitów o rzekomej odrębności uczuć i doznań chłopskich.

Nowe powieści o wsi są także dowodem, że kryzys tradycyjnej prozy epickiej dotknął również literaturę i tego kręgu. Już wprawdzie dość dawno zaczął się u nas rozkład tradycyjnej struktury powieściowej, lecz dopiero ostatnio nowe tendencje formalne objęły temat wiejski. Widać to wyraźnie w „Zwalonym wiązaniu” i „Ziemni przypisanym” Kawalca, w „Pannach szczerbanych” Pilota i w „Płamie” Stanisława Pięta. Cechuje je dążność do maksymalnej kondensacji uczuć i treści, elementy stylizacji i uduchnienia pejzażu wiejskiego, pierwiastki alegoryczno-symboliczne, skłonność do zagęszczania metaforyki. W nich nie przypomina opasłych, roduwów „Chłpów” biorących eposów wiejskich.

Stanisław Pięta, którego nowa powieść „Płama” skłoniła mnie do tych ogólnych refleksji, od początku swojej bogatej twórczości tkwi w tematyce wiejskiej. W szesnastu wydanych dotąd tomikach prozy i około dziesięciu tomach prozy nie odszedł nigdy od środowiska, z którym włązała go własna biografia. Dla niego chłopski świat jest w ogóle całym światem, chłopcy to przede wszystkim ludzie, a nie przede wszystkim chłopcy. Pierwsza powieść

Pięta „Młodość Jasia Kunefala” przyniosła mu powszechne uznanie krytyków i Nagrodę Młodych PAL-u w 1938 r. Ostatnia, wspomniana już „Płama” — drugą nagrodę w konkursie literackim Związku Literatów Polskich i Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Jest to studium psychologiczne dziewczyny, która na skutek wstrząsów psychicznych i doznanych zawodów życiowych popada w obłąd. Powieść jest utrzymana w formie wyznań bohaterki, co pozwala konstruować fabułę na zasadzie przeplatania wątków rzeczywistych z obłądnymi majaczeniami chorej. Ponieważ jedną z przyczyn obłądzenia była gwałt, któremu uległa w dzieciństwie zlewożona przez staro zbrojnicę: wszystkie jej majaki, sny i rojenia koncentrują się wokół spraw miłości i seksu. Dziewczyna ma gdzieś głęboko tkwiącą świadomość pohańbienia i skalania, stąd jej urojenia o ponownym zgwałceniu przez zandarmu niemieckiego i o ostrzyżeniu włosów przez partyzantów, o morderstwach, które rzekomo popełniła dusząc swoją niestniejącą córkę i zabijając niefortunnego wlebielca.

Płaszczyny rzeczywistości i patologicznego fantazjowania nakładają się w powieści na siebie tak spójnie, że trudno je odróżnić, trudno przeprowadzić między nimi granicę. Ludmiła cierpi prawdopodobnie na schizofrenię charakteryzującą się rozszczepieniem jaźni. Stąd w pierwszym już obrazie powieści obserwuje swoją własną śmierć jak ktoś obcy, z boku. Powiada: „On to niby zabita przez Grudziela byłam ja i nie byłam ja. Wzrost, wzrost — te rzeczy się zgadzały, ale zarazem to

(Ciąg dalszy na str. 4)

zuje się wielką wagą do prac laboratoryjnych i sporządzania przez uczniów pomocy naukowych. Triumfy święci — jednym słowem — nauczanie poglądowe.

Przy poszczególnych szkołach można spotkać wybudowane osobno pomieszczenia na warsztaty, bogato wyposażone w narzędzia i różne maszyny. Nie do rzadkości należy też posiadanie przez szkołę małego gospodarstwa rolnego. Uczniowie uprawiają ziemię, a plony przekazują przewidziane do stołówek szkolnych.

Niektórzy z czechosłowackich pedagogów, jak np. G. Pavlovic i J. Trajer — poświęcili się wyłączenie problematyce kształcenia politechnicznego. Skupili wokół siebie pokazne grono współpracowników, wśród których nie brak wybitnych ludzi techniki. Wymienić choćby można inż. K. Maresa, znanego z licznych publikacji.

Kształcenie politechniczne przekształca się coraz bardziej w nauczanie tzw. produkcyjne, w produkcyjną praktykę. Każda szkoła musi dać podstawę do pracy zawodowej. Chodzi tu o zmiany bardzo głębokie, o zasadniczą przebudowę tradycyjnego typu szkoły.

Warto trochę szerzej przedstawić jak wygląda sprawa pracy produkcyjnej studentów wyższych uczelni. Praca ta — najczęściej nie związana ściśle z dziedziną studiów — to jeszcze jedna próba szukania nowych dróg do większego związania nauki z życiem. Organizacja pracy produkcyjnej na poszczególnych wydziałach przedstawia się rozmaicie. Na wydziałach prawa studenci pier-

wszego roku pracują 14 dni w miesiącu w fabryce lub w budownictwie, a w pozostałych dniach studiują. Studenci medycyny pracują w różnych placówkach zdrowia. W okresie wakacji biorą udział w dyżurach działających na wsi.

Studenci nauki przyrodnicze obowiązuje ich do pracy produkcyjnej przez 20 tygodni w ciągu całego okresu studiów — w tym musi być co najmniej jeden miesiąc nieprzerwanej pracy.

Na Uniwersytecie im. Karola w Pradze ustalony jest np. następujący plan pracy produkcyjnej młodzieży w rolnictwie oraz w przemyśle chemicznym, spożywczym i farmaceutycznym: w I semestrze młodzież tylko studiuje, w semestrach II, III i IV pracuje po 4 tygodnie, a w dwóch dalszych łącznie 8 tygodni, które mogą być dowolnie rozłożone w czasie. W ostatnich 3 semestrach ma miejsce praktyka zawodowa, która ogółem wynosi 12 tygodni.

Na wydziałach filologicznych młodzież obowiązuje również 20 tygodni pracy produkcyjnej — jesienią we wrześniu, lub wiosną w kwietniu. Rozkład w tym wypadku jest następujący: I semestr — 5 tygodni pracy w rolnictwie, II semestr — 5 tygodni pracy w budownictwie, IV semestr — 6 tygodni pracy w fabryce i w VI semestrze 5 tygodni takiej samej pracy w zakładzie produkcyjnym. Ponadto od studentów wydziałów filologicznych wymagana jest jednoroczna praktyka pedagogiczna w instytucjach wychowania pozaszkolnego i w placówkach kulturalno-oświatowych.

W wyższych uczelniach technicznych praca produkcyjna podczas studiów prowadzona jest jeszcze w większym zakresie. W pierwszym roku studenci muszą już przejść minimum techniczne. Po pracy w warsztatach przychodzi wkrótce praca zawodowa w fabrykach. Uczelnie tego typu posiadają stałą współpracę z dużymi zakładami produkcyjnymi.

Pierwszeństwo przy przyjmowaniu na wyższe uczelnie mają ludzie, którzy byli już przedtem zatrudnieni w przemyśle czy rolnictwie. Dotyczy to podobnie przedstawicieli zawodów humanistycznych. Stały rozwój nauki wysuwa coraz bardziej problem dalszych studiów. Absolwenci medycyny wracają np. już obecnie co 5 lat na trzymiesięczne studia uzupełniające.

Bardzo rozwinięta jest w Czechosłowacji sieć różnego typu szkół dla pracujących. Większość z nich ulokowana zostaje bezpośrednio przy zakładach produkcyjnych.

Ogólnie biorąc — w Czechosłowacji wychodzi się z założenia, że dość dużo ludzi pokończyło już różne szkoły i uczelnie, a później ich przydatność zawodowa okazywała się bardzo problematyczna. Dlatego też trzeba możliwie szybko wdrażać każdego do pracy i sprawdzać jeszcze w trakcie nauki jego zdolności i umiejętności. Pozwala to niewątpliwie na lepszą gospodarkę kadrami. W każdym razie, tym tendencjom warto się bliżej przyjrzeć i przemyśleć je głęboko.

J. MIR



Amator kocha sztukę za darmo

Ruch amatorski ma w Polsce rzeczywiste sprzyjające warunki rozwoju. Też chociaż przebiegał różnie — raz dorastał do rangi współuczestnika frontu upowszechniania kultury, raz zyskiwał miano nieobowiązkowego hobby piękności — zawsze tyłkając jego uczestników wzbogacało społeczny dorobek kulturalny. Nie zauważyliśmy nawet chwili, kiedy ruch ten obrócił w administracyjny aparat, stał się ruchem funkcjonalnym, mocno osadzonym w strukturze upowszechniania w sztuce. Stał się więc faktem tak oczywistym, że nie reagujemy nawet na jego przemiany, na pulsowanie stagnacji i rozwoju, na ciągły proces przystosowania do zmieniających się warunków.

Gdzie szukać genezy ruchu amatorskiego? Niektórzy widzą jego początek w kontynuacji sztuki ludowej, w domowym majsterkowaniu chłopiejskich rzeźbiarzy, ceramików, artystów rzemiosła ludowego. Jest to teoria mająca częściowo pokrycie w historii sztuki ludowej, kiedy samowystarczalna gospodarka chłopiejska produkowała na swoje potrzeby wytwory ludowego rzemiosła. Ta poboczna twórczość nie była dźwignym hobby, tylko życiową potrzebą, o tym musimy pamiętać. Wydaje się jednak, że ludowa geneza sztuki amatorskiej jest nieco sztuczna, gdyż określająca jedynie brak zawodowego przygotowania ludowych twórców, przygotowania do kontynuowania sztuki tzw. uczonej. Teoria ta — z jednej strony — nie tłumaczy wysokiego poziomu artystycznego sztuki ludowej, z drugiej zaś — zaciera jej odrębność w stosunku do sztuki wielkich mistrzów. Sztuka ludowa powodowana była koniecznością ekonomiczną w znacznie większym stopniu niż potrzebą rozrywki.

Inni genezy sztuki amatorskiej poszukują w dyktantym, który tyle zaważył na rozwoju sztuki europejskiej i jej rozpowszechnieniu. Dyktant, oświecony dyktant w typie muzyka Ogilńskiego czy dramaturga Fredry, toż to przez wiele stuleci przykład sztuki niezależnej od dworskiego czy kościelnego mecenata. Naturalnie, taką sztuką uprawiał człowiek, którego było na to stać, człowiek zamożny. Nie tyle chodziło mu o zysk czy zawodowe traktowanie sztuki ile o przyjemność estetyczną. Ten półartysta — snob wiele się przysłużył sztuce, chociaż większość z nich zachowała dla nas twarz anonimową. Zajmując się sztukami artystycznymi, przy niedostatku czasu albo talentu — tworzyli jedynie ów mikro-klimat umożliwiający istnienie zawodowej warszawy artystów. Zamożny dyktant dodawał splendoru artyście prawdziwemu. Co więcej, był niekiedy pierwszym jego klientem. I chyba w galerii przodków sztuki amatorskiej warto odkurzyć tych zamożnych antenatów, którzy marnotrawili czas na pisanie komedii czy trawienie kopersztichów dla własnej swojej radości a zabierała czasu. Z niedojrzałego oświeconego dyktanta narodził się artysta prawdziwy, w jednym stojący rzędzie z wyrobnikami sztuki, którzy dla zarobku uprawiali swoje rzemiosło cechowe.

Istnieje jeszcze pogardliwe słowo — amator — sztuka, które ma deprecjonować wysiłki wszystkich „malarzy niezależnych”, twórców od czasu do czasu. Naturalnie, zia jakoś łatwiej przychodziło do dzieł twórczym niekulturowa ręką. Przecież, podkreślając nieumiejętność amatora, gubimy rzeczy większe i istotniejsze — a więc zafascynowanie sztuką, muzykowanie czy malowanie dla przyjemności, kształcenie się i potrzebę zabawy w kręgu sztuki. Amatorstwo to tęsknota za kontaktem z samym procesem powstawania sztuki, to poszukiwanie radości tworzenia dostępnej tylko dla rzeczywistych

twórców. Co więcej, amatorstwo w niektórych warunkach dawało jedyną szansę kontaktu ze sztuką prawdziwą, kiedy amatorzy, którzy nie widzieli teatru z prawdziwego zdarzenia, zaczęli tworzyć teatr własny, teatr amatorów. Amatorstwo jest zjawiskiem współcześnie rozwarstwionym. W zależności od stopnia kultury i przygotowania — albo tworzy własne wartości kulturowe, albo naśladuje i przybliża te wartości, tworząc głód kultury i namiastki jego zaspokajania. Amatorem jest emeryt — rzeźbiarz w drzewie, jak i kilkunastolatek śpiewający z przejęciem „O Jimmy Joe...”. Amatorem jest, a właściwie był, „Celnik” Rousseau, jak i nasz modny i rozreklamowany Nikifor. Amatorskim jest także, z dużym przymrużeniem oka — nowe, znakomite zjawisko współczesne — teatr studencki.

Burzliwy rozwój teatrzyków amatorskich, teatrzyków studenckich, wniósł do kultury teatralnej nowe wartości, wartości literackie, kulturalne, teatralne. Po pierwsze — zainteresował kulturą nie tylko humanistów, ale i tzw. umysły techniczne, po drugie — wyjął kadre nowych zawodowców, artystów z prawdziwego zdarzenia. Powstał nowy typ teatru, odradzający tradycję kabaretu literackiego, ale także i pantomimy i rewili. Muzyka, piosenka o inteligentnym tekście, pełnym dowcipu i satyry przypominała nam, jak bardzo jest niedobra piosenka zawodowych „tekściarzy”. Gra aktorska wolna od sztampy i manier uczyniła z celebracji „warstwu” zabawę w teatr, bliską ludowym intermediom. Teatr o tradycji plebejskiej objawił się w inteligentnej zabawie — oto paradoksa dla znawców przedmiotu. I to wszystko uczyniło amatorstwo bezinteresowne.

Ruch amatorski ma dziś swój aparat organizacyjny, sieć domów kultury, poradnie ruchu amatorskiego, biblioteki i wydawnictwa. Był amatorem w jakiejś dziedzinie sztuki, to bez mała społeczny obowiązek i karta wstępu do domu kultury. Nie zawsze jednak ta zdolność organizacyjna wyszła ruchowi na dobre. Można przykładać do domu kultury — malarzom, że chcą wystawiać swoje obrazy, trzeba się przeciwstawić, gdy chcą sprzedawać je jako gotowe i uznane dzieła sztuki. Jest doświadczenie zjawiskiem, gdy „Czerwono-czarni” i inne kolorowe zespoły nie tylko wynajdują „nowe talenty”, ale uczą je chałtury na estradowych, komercyjnych występach. Niedzielne malarstwo nie może stać się źródłem zarobku na cały tydzień, a nieliczne kariery utalentowanych nie powinny stanowić zachętę i oczyszczać racji dla wszystkich. Trzeba więc przypomnieć oświeconych dyktantów, którzy uprawiali sztukę za darmo.

WIESŁAW RUSTECKI

WIDNOKRĄG odpowiada

„LIGIA”: Wiersze nie przedstawiają wartości artystycznych, może rzeczywicie nie warto tracić na nie czasu, którego, jak Pan pisze, jest niewiele. A. B. Z NOWEGO SĄCZA: Tak to jest, gdy się wiersze pisze na lekcji. I poematy nie tegie, i z nauką nie lepiej, co ujawnia się w licznych błędach ortograficznych. Za błędy nie trzeba przeproszać, po prostu trzeba się nauczyć pisać.

darzy nas obrazami o wyjątkowym nasyceniu emocjonalnym, żywo przypominającymi czytelnikowi „Młodość Jasia Kunefala”. Np. „...to wszystko widziałem jak na dłoń; rękę rozbliskującą w świetle błyskawic, w dal głębiej wieś, wreszcie o jakie sto metrów przed sobą konie zaprzęzione do pluga. Szły ziejąc, potykając się o brudzy, były gniade, piana z ich grzbietów bila w powietrze jak iskry. Wysoki chłop postępował za nimi trzymając się cepigów pluga, był лысы, bez kapelusza, strugi wody spływały po nim jak po rynnie... Kiedy wybuchły błyskawice i kręciły światem jak kołem, mój cień ogromny biegł przede mną, skradając się, to wydłużając na mokrej świecącej roli... Błyskawice coraz cięsze, coraz gwałtowniejsze szamocząc się spadały na ziemię, a wtedy grube krople deszczu zdawały się zapalać i lecieć jak kule przez pola...”

Ten sugestywny opis burzy stanowi przykład widzenia krajobrazu i uroków wsi daleki od werystycznej opisowości tradycyjnej powieści wiejskiej. Nowatorstwo „Plamy”, jej autentyczność, utajony liryzm i humor decydują o tym, że książka jest niewątpliwym wydarzeniem literackim. Nie stanowi ona jednak zjawiska odosobnionego w literaturze o wsi, jak to już wyżej wspominałem i to pozwala wiązać duże nadzieje na rozkwit tej tematyki w prozie. Ale największą zaletą powieści Pietaka jest jej oryginalność i samodzielność w poszukiwaniu rozwiązań artystycznych. To nie zawsze da się powiedzieć o innych utworach z tego kręgu.

JAN GRYGIEL

*) Stanisław Pietak: „Plama” LSW, 1963 r.



ARTUR SANDAUER — Młot i krytyk (bawił niedawno w Rzeszowskim z wycieczką ZLP). Rys. J. Sienkiewicz

Prapremiera uroczej „Smarkuli”

Oklaskami przy otwartej kurtynie, huraganami beztroskiego śmiechu, hucznymi brawami po pokazie oraz aplauzem w czasie spotkania z aktorami — oto czym przyjęła rozbawiona widownia kina „Wrzos” nową polską komedię pt. „Smarkula”. Właśnie w ubiegły poniedziałek „Smarkula” po raz pierwszy zetknęła się z szerszą publicznością w kraju. Dzięki staraniom Zakładowego Domu Kultury oraz CWF zetknięcie to miało miejsce w Stalowej Woli. W uroczystej, a przy tym jakże udanej prapremierze, wzięli udział twórca filmu i aktorzy — reżyser Leonard Buczkowski, Barbara Rylska, Bronisław Pawlik i Czesław Wołłejko.

Reżyserowi „Smarkuli” — znanemu dobrze naszym kinomanom jako twórca „Zakazanych piosenek”, „Skarbu”, „Przygody na Mariensztacie” oraz popularnym aktorem polskim publiczność Stalowej Woli zgotowała niezwykle serdeczne przyjęcie. Były kwiaty, były słowa zachwytów i podziękowań, a nade wszystko miły nastrój od chwili oficjalnego powitania artystów i reżysera przed pokazem aż do zakończenia uroczystości prapremierowej, na którą złożyły się: spektakl i spotkanie twórców „Smarkuli” z mieszkańcami hutniczego miasta.

Nowy film Buczkowskiego okazał się uroczą, pogodną komedią, pełną wdzięku, humoru i świetnych point. Reżyser kontynuuje w „Smarkuli” podpatrywanie beztroskiego życia warszawiaków i ich codziennych, zabawnych kłopotów. Swoim humorem i tematyką „Smarkula” przypomina wcześniejsze komedie Buczkowskiego poświęcone Warszawie i jej kpiarskim mieszkańcom. Patrzy się na nich z głęboką sympatią, miłością i pełnym rozbawieniem. Nie ma w nich nic ze sztuczności, teatralnej pozy i rozdźwięku z powszednim dniem. Zasugerowało to tak stalowowską widownię, że w czasie spotkania zadawano artystom występującym w „Smarkuli” pytania w rodzaju: (do Wołłejki) „Czy pan naprawdę kocha Krystynę” (główną bohaterkę), „Dlaczego się pan nie ożenił z nią” albo (do Rylskiej) „Czy pan jest zawsze taka zazdrosna”.

Urok i wartość tego filmu podnosi świetna obsada aktorska i poniekąd młodzieżowa tematyka. Artyści grają znakomicie. Szczególnie Bronisław Pawlik, Anna Prucnal, Czesław Wołłejko, Barbara Rylska i Alina Janowska. Są bezpośredni, a przez to bliżsi i zrozumialsi. Dysponują w każdej sytuacji ciętym słowem i niewymuszonym, zabawnym gestem, spojrzeniem.

Debiut Anny Prucnal w polskim filmie wypadł nadzwyczajnie. Młodziutka, czarująca, subtelna i utalentowana. Gra poniekąd siebie — 17-letnią dziewczynkę, zagadkową, tajemniczą, a przy tym bogatą w uczuciowe stany rozwijające się w czasie trwania akcji.

Warszawskiego taksówkarza, wuj-

ka Krystyny, z łaski losu zastępuje w filmie Bronisław Pawlik. Ten specjalista od ról liryczno-komediowych syple ludowymi powiedzonkami jak z rękawa. Bawi i rozśmiesza kinomanów nie tylko dowcipnym językiem, ale i całą gamą aktorskich zdolności. Tęsknią za nim widzowie, kiedy tylko na chwilę znika z ekranu, a wspólcują mu, kiedy narzeczona Stefa (Barbara Rylska) rozbija talerze i urządza bez wyraźnych powodów sceny zazdrości.

Drugi przybrany wujek Krysi to Czesław Wołłejko — dystyngowany i raczej surowy, ale dobroduszy doktor; jego „narzeczona” jest stała bohaterka filmów Buczkowskiego Alina Janowska. Poza tym w filmie większe role grają: Mieczysław Kalenik (Zbyszko z „Krzyżaków”), Jadwiga Chojnacka, Feliks Chmurkowski i inni.

W czasie spotkania z aktorami i uroczystej prapremierze przedstawiciel naszej redakcji zanotował krótkie wypowiedzi twórców nowej komedii pt. „Smarkula”. Oto one: Reżyser Leonard Buczkowski: Dziękuję za przemiłą atmosferę wy-

Zdarzenia TYCODNIA

Dwa seminaria szkoleniowe: dla konsultantów amatorskich zespołów teatralnych i pracowników placówek k. o., organizujących projekcje filmów oświatowych — zorganizowane zostały ostatnio w WDK w Rzeszowie.

W ramach imprez organizowanych z okazji Dnia Hutnika i 25-lecia Stalowej Woli — w tamtejszym Zakładowym Domu Kultury zorganizowany został konkurs na temat historii miasta i hutnictwa. W grupie pierwszej (starszych) pierwszą nagrodę zdobył Ryszard Burek, w grupie młodszych Barbara Magryś. Konkurs połączony był z występem zespołu estradowego.

Konkurs fotograficzny pt. „Poznaj piękno województwa rzeszowskiego” ogłoszony został ostatnio przez Zarząd Okręgu PTK w Rzeszowie. Tematem zdjęć powinny być w pierwszym rzędzie zabytki kultury, historii i architektury województwa rzeszowskiego. W konkursie uczestniczyć mogą fotograficy zawodowi i amatorzy.

Rzeszów otrzymał ostatnio nową placówkę oświatową. Jest nią filia biblioteczna WIMBP, mieszcząca się w lokalu przy ul. Czackiego 5. Do dyspozycji czytelników oddano ponad 10 tysięcy książek. Czynne są też dwie czytelnie dla starszych i młodzieży.

We Wrocławiu zakończona została finały X Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Duży sukces odniosła reprezentantka naszego województwa — Marta Kudłek, która w kategorii amatorów zajęła trzecie miejsce.

W foyer Państwowego Teatru im. Wandy Słomskiej w Rzeszowie otwarto wystawę malarstwa Stefana Wywicza. Ekspozycja obejmuje ponad 30 interesujących prac związanych tematycznie z Przemysłem i okolicą.

O wsi inaczej

(Ciąg dalszy ze str. 3)

się komplikowało, bo ja byłam równocześnie na zewnątrz tego zdarzenia, ja się temu przypatrywałam, jakby to był film...” Tym samym pomysłem autor posługuje się konsekwentnie w ciągu akcji. Schizofrenia powoduje całkowite zatracanie przez bohaterkę kontaktu z otaczającą ją rzeczywistością, pograżanie się we własnym świecie. Widzę obłąkaną obrysowaną niezwykle wyrazistym konturem, dosadne i plastyczne, napełnione szczegółami i kierowane osobliwą logiką snów stwarzają niepowtarzalną atmosferę i kil mat powieści. Mimo wymyślnej konstrukcji, mimo ucieczki autora od ciasno pojmanego realizmu, mimo chęci artystycznego przewyższenia rzeczywistości — „Plama” jest książką głęboko autentyczną i to zarówno w sferze psychologii, jak i w sferze obyczajowości. Przynosi bardzo prawdziwy i wzruszający portret nieszczęśliwej dziewczyny obciążonej ciężarami doznań ponad wytrzymałość zmysłów. Świetne są również szkice postaci drugoplanowych — pijaczyny i rozpustnika Grudziela, jurnej Anieli czy lekkomyślnego amanta Czachury. Przynosi mnóstwo materiału obyczajowego ze sfery życia towarzyskiego i erotycznego wsi (przyjęcia, zalecanki, konkury, wesela itd).

Pietak ani na chwilę w powieści nie zapominał o tym, że jest poeta i to poeta o żywiołowej wprost wyobraźni, związany głęboko z krajobrazem i ziemią. Dzięki temu



Fot. JÓZEF LIGEZA